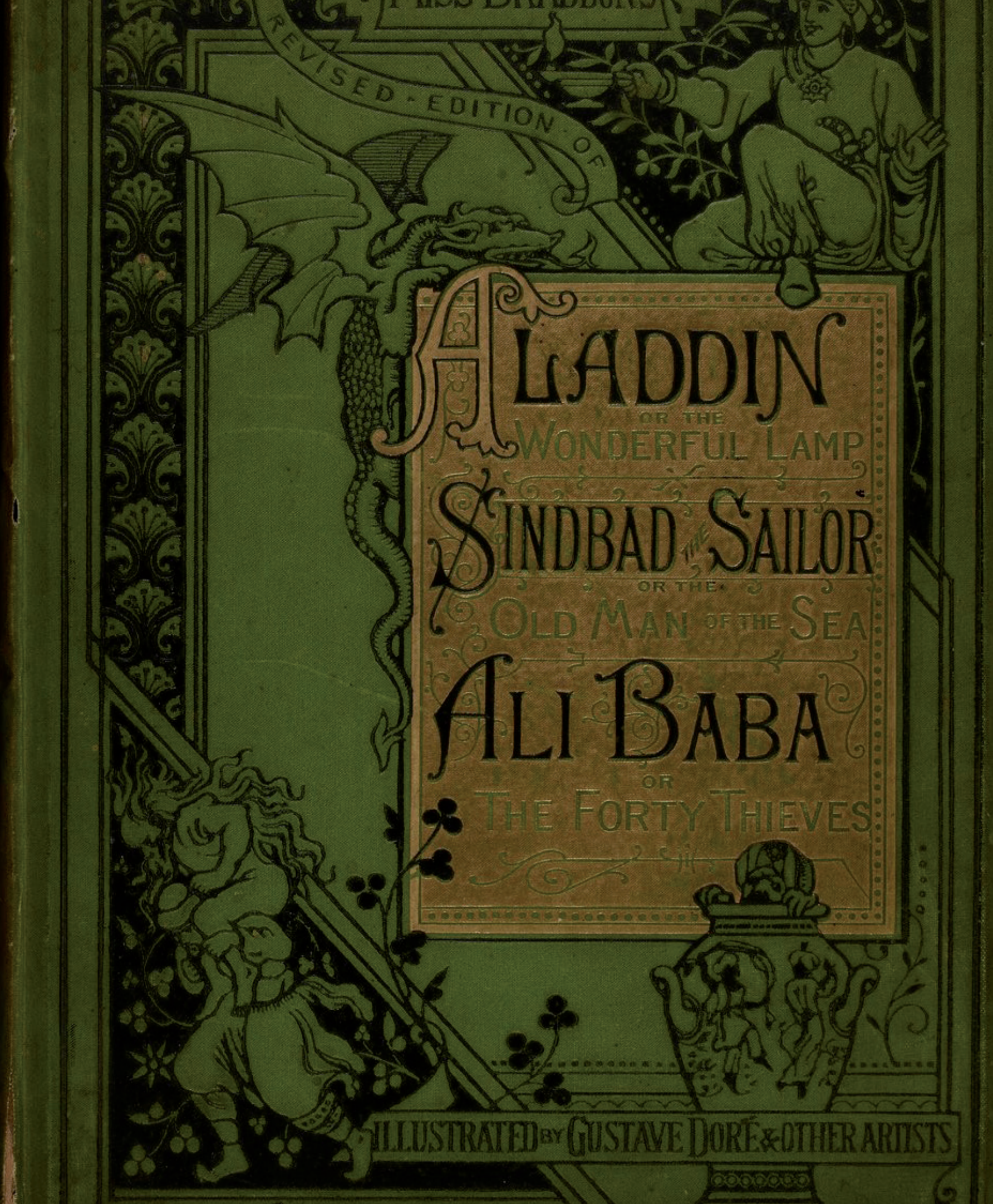


REVISED EDITION OF

ALADDIN
OR THE
WONDERFUL LAMP
SINDBAD THE SAILOR
OR THE
OLD MAN OF THE SEA
ALI BABA
OR
THE FORTY THIEVES

ILLUSTRATED BY GUSTAVE DORÉ & OTHER ARTISTS



SŁU DZY WIEL KOŚCI

Edytorstwo jest jak maraton

Rozmowa Wojciecha Kruszewskiego
i Dariusza Pachockiego z Mirosławem Strzyżewskim

Dariusz Pachocki

Znajdujemy się bardzo blisko sali imienia Konrada Górskiego. Nasuwa się pytanie o dziedzictwo. Cieszy czy raczej jest obciążeniem? Jestem też ciekaw, jak to się stało, że zostałeś spadkobiercą i kontynuatorem myśli wielkiego edytora.

Mirosław Strzyżewski

Nie powiedziałbym, że jestem spadkobiercą czy dziedzicem myśli Konrada Górskiego. A kontynuatorem tylko do pewnego stopnia. Przede wszystkim mam bardzo osobisty stosunek do Górskiego, którego poznałem jeszcze w czasach studenckich. Jeśli chodzi o salę 206, o której wspominałeś, gdzie wisi portret Konrada Górskiego, to ten wizerunek jest raczej demoniczny – jego osoba też trochę była demoniczna...

Dariusz Pachocki

A co to znaczy?

Mirosław Strzyżewski

To znaczy, że kiedy wykładał w sali 206 (dawniej sala V), która miała jeszcze stary wystrój, z katedrą podniesioną na dwóch schodkach, wyglądało to dosyć zabawnie, dlatego że Górski był niskiego wzrostu, prawie niewidoczny zza tej katedry, kiedy usiadł *vis-à-vis* swoich notatek. Było widać tylko ogromne dłonie, które wystawały z owej pięknej drewnianej katedry. To było bardzo ciekawe. Górski miał świetnie ustawiony głos, znakomitą dykcję, teatralne umiejętności, potrafił czarować głosem i spojrzeniem, dlatego był lubiany we wszystkich pokoleniach słuchaczy. Miałem tę przyjemność zetknąć się z Profesorem jeszcze jako student. Jeden z redaktorów miejscowej gazety zaproponował mi zrecenzowanie, tj. przedstawienie książki, która wówczas się ukazała, mianowicie *Mickiewicza – Towiańskiego*. I to jest pierwsze spotkanie z Profesorem, choć – przepraszam – w kolejności chronologicznej jednak drugie, bo

najprzód był wykład, jak się miało potem okazać, ostatni wykład Górskiego w gmachu Collegium Maius. Nosił tytuł: „Przewycięzanie prometeizmu w *Dziadach części trzeciej*”. Jako przewodniczący Koła Naukowego Polonistów najpierw zadzwoniłem, a następnie wspólnie poszliśmy – zaproszeni przez Profesora – do jego mieszkania na piętrze domu dziś już nieistniejącego, a położonego *vis-à-vis* Ogrodu Zoobotanicznego na Bydgoskim Przedmieściu, stosunkowo niedaleko Collegium Maius. Zgodził się ochoczo na naszą propozycję wygłoszenia prelekcji dla studentów, ustaliliśmy termin i warunki, wymagane było dobre światło, i jał szczegółowo przepytować nas co do zainteresowań i postępów w nauce. Profesor był już wtedy w stanie spoczynku, zdarzało się, że miał odczyty lub spotkania w miejscowym Towarzystwie Naukowym bądź w innych towarzystwach, także poza Toruniem, w Collegium Maius jednak od dłuższego czasu już nie bywał. Kiedy usłyszał, że ma wygłosić dla nas wykład, był bardzo wzruszony. Zorganizowaliśmy go chyba w 1984 roku, krótko po stanie wojennym, a może jeszcze w jego trakcie, teraz już tego dokładnie nie pamiętam. Wiąza się z tym różne przygody, ponieważ umówiliśmy się z Profesorem, że przyjedziemy po niego taksówką. Mieszkał niedaleko, nie mógł się jednak doczekać spotkania i pani gospodyni, mama Bogusława Lindy, z przerażeniem otworzyła nam drzwi, mówiąc: „Profesor nie mógł się was doczekać, sam poszedł na wydział”. A to był listopad, za oknem ślota, śnieg. No to my za nim. Goniliśmy Profesora tą taksówką, lecz bezowocnie, w pośpiechu wpadliśmy do sali, szukamy, a Profesor siedzi spokojnie z boku w swoim słynnym starym palcie, trzyma kapelusz w dłoni i teczkę obok. Nikt z obecnych, a cała sala była zapelniona, nie rozpoznał w nim Profesora Górskiego, ponieważ żaden ze studentów nie miał z nim wówczas bezpośredniej styczności. Wykład odbył się w przepełnionej sali, był wielce interesujący. Później dowiedziałem się, że to był bardzo trudny czas dla Górskiego. Został wmanewrowany w nieszczęśliwą wypowiedź dla TV z czasu stanu wojennego, po czym akademicy zerwali z nim kontakty. To było dla niego nadzwyczaj przykre. Kiedy go zaszantażowano, że jego ukochane Towarzystwo Naukowe w Toruniu zostanie rozwiązane, zgodził się na wypowiedź po „Dzienniku Telewizyjnym”. Wówczas tego nie wiedziałem, nie słyszałem tej wypowiedzi, dopiero później się o tym dowiedziałem. To była wypowiedź na temat stanu wojennego – że stan wojenny jest mniejszym złem – wpisująca się w narrację komunistyczną. Różne osoby zerwały z nim wtedy kontakty. Potem zrozumiałem, skąd wziął się u niego ten entuzjazm związany z wykładem. Profesor był bardzo wzruszony, że ktoś zwrócił się do niego w tak trudnym momencie. Chyba dwa czy trzy lata Górskiego izolowano od środowiska naukowego. Jako studenci o tym nie wiedzieliśmy. To było dla mnie ważne wydarzenie inicjacyjne, wspominam o nim w perspektywie osobistej – to wtedy zrodził się mój szczególny stosunek do Konrada Górskiego. Oczywiście znałem wcześniej teksty Profesora. Musiałem je czytać albo czytałem sam, z własnej woli. Ale student czytający teksty edytora i monografisty Mickiewicza... no jednak ten zasób wiedzy i wyobraźni jest trochę inny niż bezpośrednie spotkanie z autorem. Później jeszcze kilkakrotnie spotykaliśmy się z Profesorem z okazji promocji książki *Mickiewicz – Towiański*. Mogę więc powiedzieć, że zorganizowałem ostatni wykład Profesora Konrada Górskiego w jego sali, obecnie 206, w której wykładał przez wiele lat. Oczywiście kiedy organizowaliśmy prelekcję, nikt z nas nawet nie przypuszczał, że Profesor Konrad Górski już nigdy w Collegium Maius nie zagości.

Ale powróćmy do pytania, czy jestem jego kontynuatorem. Na początku byłem zafascynowany tą ogromną spuścizną i charyzmą Profesora. Odtwarzałem na przykład wszystkie dyskusje z udziałem Konrada Górskiego z lat pięćdziesiątych, sześćdziesiątych, dyskusje ze Stanisławem Pigoniem, które zresztą wyzyskałem później we wstępie do wznowienia

książki *Tekstologia i edytorstwo dzieł literackich*, które ukazało się w Toruniu w 2011 roku. Ten świat dyskusji edytorskich był tak ciekawy, że mnie to naprawdę zafascynowało. Górski był głównym dyskutantem w rozmaitych kwestiach, bo dotyczących i literatury staropolskiej, trynitarskiej, i literatury antytrynitarskiej, i kontrreformacyjnej. Fascynował się językiem staropolskim. Jego dzieło, które tutaj zresztą leży na biurku, *Słownik Adama Mickiewicza*, jest unikatowe, wyjątkowe na skalę europejską. To była fascynacja z takim pytaniem w tle: jak to możliwe, że jeden człowiek potrafił tyle zrobić w ciągu całego swojego życia? I ta fascynacja przerodziła się później w bliższe zainteresowanie edytorstwem.

Chcę przywołać jeszcze jedną sytuację. Kiedy wychodziłem z obrony swojego doktoratu, zatrzymał mnie Profesor Artur Hutnikiewicz, który w niej uczestniczył. To był 1992 rok. Profesor Hutnikiewicz zapytał mnie wówczas: „No i co Pan będzie teraz robić? Jakie ma Pan plany, jakie zainteresowania?”. „Chciałbym zająć się edytorstwem”. „No to jest Pan stracony dla nauki! – odpowiedział Hutnik. – Kolejny stracony dla nauki”. „A – dopytałem – kim jest ten wcześniejszy?” „Mój przyjaciel Zbigniew Goliński”.

Chyba dwa lata później Profesor Goliński był w Toruniu z okazji wręczenia jakichś nagród. Zostałem mu wtedy przedstawiony przez Profesora Hutnikiewicza. Bardzo dobrze to wspominam, choć nie poznałem bliżej Profesora Golińskiego. Profesor Hutnikiewicz miał natomiast dość sceptyczny i zdystansowany stosunek do edytorstwa.

Ten świat dyskusji
edytorskich
był tak ciekawy,
że mnie to
naprawdę
zafascynowało

Dariusz Pachocki

Czyli nie uważał, że to jest nauka? Nie uważał, że to jest ważne?

Mirosław Strzyżewski

Tak bym nie powiedział. Bo jednak poprawnie przygotowane teksty, tak by później można je było czytać, analizować, interpretować, były dla Profesora Hutnikiewicza niezwykle ważne. Sam zresztą przygotowywał edycje w serii „Biblioteka Narodowa” oraz słynną edycję opowiadań Stefana Grabińskiego. Ale interesowały go głównie edycje popularnonaukowe. Edytorstwo naukowe chyba zawsze było dla niego czymś obcym.

Dariusz Pachocki

Zatem w oczach Profesora Hutnikiewicza edytorstwo było służebne wobec literaturoznawstwa?

Mirosław Strzyżewski

Zapewne tak. W przeciwieństwie do Konrada Górskiego, który, jak wiadomo, edytorstwo traktował jako naukę podstawową, bez której filologia w żadnym wymiarze nie może istnieć.

Dariusz Pachocki

Zapytałem o dziedzictwo, bo widzę, ile się w Toruniu dzieje. Robicie edycje, sesje naukowe, macie jedyne branżowe czasopismo edytorskie...

Mirosław Strzyżewski

Także rozbudowane studia edytorskie. To widać z zewnątrz. Ale w Toruniu raczej nie docenia się tej pracy. Im dłużej tkwię w tej dziedzinie nauki, tym bardziej jestem przekonany, jak jest to istotne i ważne, a szeroko pojmowany świat literaturoznawczy często źle traktuje edytorstwo naukowe. U nas. Bo we Francji czy Włoszech rzecz ma się zgoła inaczej.

Dariusz Pachocki

A uważasz, że coś się zmienia?

Mirosław Strzyżewski

Bardzo powoli się to zmienia. Ale jeszcze niedawno, pamiętam, jeden z profesorów, teraz już emerytowany, nie będę mówił kto, gdy zacytował błędnie fragment *Wielkiej Improwizacji*, to pozwoliłem sobie zapytać, z jakiego źródła korzystał. Profesor miał wynotowaną tę *Wielką Improwizację* i powiedział: „Nie wiem, z czego to przepisałem. Ale czy to ważne, z jakiej książki? Czy to ważne, z jakiego przekazu?”. Nie skomentowałem tego, w ogóle się nie odezwałem, ale dobrze to obrazuje świadomość czy raczej brak świadomości edytorskiej w gronie filologów. Później zaczęło się to trochę zmieniać. Mam nadzieję, że miałem w tym jakiś drobny udział, bo pierwsza konferencja edytorska w Toruniu (a odbywają się one cyklicznie, niekiedy co rok, a niekiedy co dwa lata) została zorganizowana w 2007 roku. Czyli minęło już sporo czasu od tamtej chwili. Mieliśmy też przyjemność gościć na naszej konferencji wszystkie znaczące osoby z tej dziedziny, w tym Profesor Zofię Stefanowską, którą wcześniej poznałem w Warszawie. Profesor Stefanowska także miała wtedy bardzo trudny czas. Chodzi nie tylko o problemy osobiste, ale też zdrowotne. Profesor Stefanowska swój ostatni wykład wygłosiła właśnie w Toruniu. Potem zachorowała na zapalenie płuc i już z tego zapalenia nie wyszła. Dopiero później, po śmierci Zofii Stefanowskiej, dotarło do mnie, z kim my obcowaliśmy. Trudno mówić bez uwagi o Konradzie Górskim czy Zofii Stefanowskiej.

Wojciech Kruszewski

Chciałbym dopytać o Górskiego w nieco innym kontekście. To były czasy wielkich dyskusji i wielkich sporów, wielkich kontrowersji, i to było zupełnie na serio. Górski i Pigoń na przykład. Dzisiaj tego nie ma.

Mirosław Strzyżewski

Edytorzy jednak sporo pracują. Znacznie więcej niż kiedyś.

Wojciech Kruszewski

Tak, ale nie ma dyskusji, nie ma tego agonu edytorskiego, a w czasach Górskiego był. Dlaczego tak jest?

Mirosław Strzyżewski

Myślę, że środowisko jest bardzo zatowarowane, że nie czuje wspólnoty w sensie naukowym, bo instytucjonalna wspólnota nie jest potrzebna, czasy centralizacji słusznie przeminęły. Są podejmowane próby, aby ta dyskusja na nowo zaistniała. Myślę tu na przykład o kręgu Profesor Marii Prussak. Ale te próby trafiają w próżnię, bo albo nie ma odzewu, albo jest on jednostronny, tak jak Twój tekst, Wojciechu, w „Pamiętniku Literackim”. I te dyskusje, niestety, dzisiaj są raczej jałowe, często podszyte emocjami, animozjami, argumentami *ad personam*. I to mnie niepokoi. Kiedyś ludzie też mieli do siebie rozmaity stosunek. Mówię o latach siedemdziesiątych, osiemdziesiątych, ale na pierwszym planie były zawsze sprawy czysto naukowe. Były personalne utarczki między profesorami, to wiemy przecież. Ale, odnoszę takie wrażenie, to było na wyższym poziomie intelektualnym. Ludzie żyli nauką. A dzisiaj często włącza się do niej sprawy osobiste, bytowe czy organizacyjne, niekiedy nawet polityczne, górują ambicje i emocje, nadto sprawy instytucjonal-

Profesor
Stefanowska
swój ostatni wykład
wygłosiła właśnie
w Toruniu

ne u nas w Polsce odgrywają tak dużą rolę, że zabijają rozmaite dyskusje na wielu polach humanistyki. To zresztą dotyczy nie tylko dyskusji edytorskich...

Wojciech Kruszewski

Rozumiem, że nie jest tak, że nie ma o czym dyskutować.

Mirosław Strzyżewski

Jest o czym dyskutować, tylko dyskutantów brak. Konferencja „Jak dziś wydawać klasyków literatury?”, z okazji której się spotykamy, też pokazuje taką sytuację. Mamy bogactwo projektów, bogactwo prac. Jest mnóstwo osób, które pracują nad różnymi edycjami: i analogowymi, i cyfrowymi. Ale wyraźnie widać, że są to zespoły i środowiska oddzielone od siebie. Każdy pracuje jakby we własnym gronie. I teoria edytorstwa, która mogłaby spajać i mogłaby łączyć ze sobą te grupy i tworzyć jakąś platformę dyskusyjną... jednakowoż dotąd jeszcze nie zaistniała. Tak to widzę. Atomizacja, rozdrobnienie środowiska.

Dariusz Pachocki

Może też chodzi o obawę, że ktoś się obrazi, że zbyt osobiście odbierze uwagi, które są w istocie merytoryczne.

„Sztuka Edycji”
jest otwarta
na dyskusje
dotyczące szeroko
pojmowanego
edytorstwa

Mirosław Strzyżewski

Ostatnio byłem właśnie bardzo zdziwiony, gdy dotarły do mnie informacje o niesnaskach między osobami współpracującymi ze sobą w poszczególnych zespołach wydających dzieła czy to Prusa, czy Przybyszewskiego. Dla mnie jest to nie do przyjęcia. Zespół musi sobie ufać i nawzajem się wspierać. Jest miejsce na dyskusję i na wzajemną niezgodę, ale nie ma miejsca na niechęć. Kiedy już jakiś projekt się rozpoczyna, to nie wolno tracić energii na konflikty. A tu sprawy personalne z takich czy innych powodów odgrywają znaczącą rolę.

Wojciech Kruszewski

Czy nie taki był wobec tego pomysł na „Sztukę Edycji”? Stworzyć nie tyle miejsce do publikacji, ile platformę do dyskusji? Czy to się udało?

Mirosław Strzyżewski

Był taki pomysł. To miało być miejsce do publikacji, ale również miejsce do dyskusji. I miejsce służące prezentowaniu rozmaitych form edytorstwa i projektów nowoczesnego edytorstwa. Myślę, że ta prezentacja się udaje. I że te publikacje są ważne. Nie jestem już redaktorem naczelnym, ale zakładałem czasopismo. Dyskusje są natomiast bardzo rachityczne – i to właśnie odzwierciedla kwestię braku wymiany myśli w środowisku. „Sztuka Edycji” jest otwarta na dyskusje dotyczące szeroko pojmowanego edytorstwa. Nie możemy jednak nikomu ich narzucić. Odnoszę wrażenie, że akademicy po prostu nie mają potrzeby dyskusowania, każdy pracuje osobno na rozmaitych poletkach. Ponadto ważna jest dla wielu patologiczna punktoza, a za dysputy urzędnik punktów nie przydziela. Może jednak w przyszłości „Sztuka Edycji” spełni funkcję otwartego forum dyskusyjnego.

Dariusz Pachocki

A co masz na myśli, mówiąc „nowoczesne edytorstwo”?

Mirosław Strzyżewski

Mówię o edycjach cyfrowych i o projektach, które wykraczają poza nasze tradycyjne przyzwyczajenia. Ale mam też na uwadze zupełnie inne zagadnienia. „Sztuka Edycji” nieprzypadkowo tak się nazywa. Tytuł nawiązuje do książki Konrada Górskiego z 1956 roku, czyli do jego *Sztuki edytorskiej*. Tak, to nawiązanie jest świadome, ale w tym tytule mieści się również kilka sugestii. Otóż że edytorstwo jest sztuką i że literatura jest sztuką, o czym często zapominamy. Literatura to nie ideologia, to estetyka. W związku z tym na obrzeżach edytorstwa naukowego w znaczeniu literaturoznawczym czy językoznawczym funkcjonują także inne tematy: ruch wydawniczy, projektowanie graficzne czy kwestie typografii. Różne elementy wiążą się z edycją. I chcemy, aby one istniały w „Sztuce Edycji”, chociażby dla ich upowszechniania. Literaturoznawcy często nie mają pojęcia o tym, jak istotny jest dobór fontu, marginesów, jak ważna jest kwestia graficznej kompozycji całości, jak powinna wyglądać struktura edycji. My te rzeczy staramy się prezentować. „Sztuka Edycji” koncentruje się nie tylko na ściśle literackim koścu, ale też na tym, co wiąże się ze sztuką szeroko pojmowaną, na przykład z grafiką. To także nas bardzo interesuje. Mamy dobre kontakty z ośrodkami, które się w tym specjalizują. Chociażby z Warszawą czy z Wrocławiem, gdzie duży nacisk kładzie się na poziom graficzny publikacji. Nie chcemy zatem zawężać sztuki edytorskiej do – mówię o czasopiśmie – jednego wąskiego kręgu literaturoznawczego. Ale tej dyskusji rzeczywiście nie ma, brakuje jej. A przecież nikogo do agonu nie przymusimy. Zastanawiałem się kiedyś nad przeprowadzaniem cyklicznych ankiet o różnych zagadnieniach. Chciałem też rozesłać propozycje do dyskusji albo spotkać się tylko w tym celu, a potem opublikować zapis rozmowy o stanie edytorstwa w Polsce. Na razie do tego jednak nie doszło. A to ktoś nie może, a to czas nie ten, a to ktoś jest śmiertelnie obrażony na kogoś i tak dalej. Widać niechęć środowiska do takich form.

**Mnie zawsze
interesuje odbiorca,
czytelnik**

Dariusz Pachocki

Sądziś, że tradycyjna, papierowa edycja może być nowoczesna?

Mirosław Strzyżewski

Tak, oczywiście. Może być. Dla mnie to taka edycja, która zrywa z pewnymi przyzwyczajeniami, rozwiązaniami, stereotypami w pracy edytorskiej i wychodzi naprzeciw oczekiwaniom wyrobionego czytelnika. To książka, w której edytor jest na planie drugim, a dzieło na pierwszym – najkrócej rzecz ujmując.

Dariusz Pachocki

A jakie są owe stereotypy?

Mirosław Strzyżewski

To chociażby samo pojęcie krytyczności, które można dzisiaj podważyć w świetle nowych deklaracji, dyskusji właśnie i konkretnych rozwiązań w tym zakresie, zwłaszcza w kontekście edytorstwa europejskiego. Mnie zawsze interesuje odbiorca, czytelnik. A to rzadkość u edytorów, bo edytorzy często przygotowują pracę jakby dla siebie. Oczywiście ważne jest przygotowanie edycji zgodnie ze standardami naukowymi, ale model edytorstwa nowoczesnego wymaga, jak sądzę, by dzieło trafiło do możliwie szerokiego grona odbiorców. Także w przestrzeni internetowej. Chodzi też o to, aby wyjść z zakłętogo kręgu publikacji literatury pięknej (klasycznej), które są poniżej wszelkiej krytyki. Kiedy

idziemy do księgarni, których jest coraz mniej, to widzimy, że dziewięćdziesiąt procent takich publikacji jest właśnie poniżej wszelkich standardów. Kiedy pytam studentów, z czego korzystają albo z jakimi książkami mieli do czynienia w wypadku lektur szkolnych, i kiedy słucham ich odpowiedzi, to włos się jeży na głowie. Moim marzeniem jest wsadzenie do więzienia tych wydawców, którzy dopuszczają się niecznych praktyk. Albo może nie do więzienia – trzeba ich wysłać na jakieś przymusowe roboty. W Toruniu jest bardzo dużo takich robót, które wiążą się z wykopaliskami archeologicznymi... Trzeba by ich wszystkich tam zatrudnić...

Dariusz Pachocki

Tych wydawców i edytorów?

Mirosław Strzyżewski

Tak, tych wydawców i tych „edytorów”. To jest moje humorystyczne marzenie. I tych wszystkich, którzy produkują te książeczki za pięć czy siedem złotych. Grzegorz Bąbiak chodzi tu na konferencji z taką książeczką w torbie – z wydaniem *Katarynki*. To jest coś tak kuriozalnego, że nie ma na to słów. Też mam przy sobie podobne wydanie, *Konrada Wallenroda*, ale nie będę tego pokazywać.

W związku z tym pozwoliłem sobie na drobną nieoficjalną modyfikację dobrze zdomowionych u nas kategoryzacji A, B, C, które odziedziczyliśmy wszak po Konradzie Górskim. Dodałem do niej kategorię D na określenie inkryminowanych książeczek. Dyskutuję na ten temat ze studentami i kiedy proszę, by przynieśli popularne wydania na zajęcia, to okazuje się, że dziewięćdziesiąt procent, albo i więcej, owych publikacji można zaliczyć właśnie do tej kategorii. I sugeruję, że należy tę grupę książek nazywać edycjami „do D”. Ale na poważnie: walka z takimi pseudopublikacjami, z tymi – nazwijmy rzecz po imieniu – śmieciami, jest poniekąd walką z wiatrakami w polskiej rzeczywistości społecznej. Jednak trzeba coś robić i piętnować niechlubne praktyki wydawnicze. Taki „wydawca” bierze dawną publikację, do której wygasły już prawa autorskie, także prawa do tłumaczenia, poddaje ją obróbce OCR, potem dodaje kiczowatą okładkę i marną korektę z ogromem błędów i rodzi się na przykład skrócony przekład *Nędzników* Victora Hugo lub *Katedry Marii Panny w Paryżu* albo awanturniczych, acz klasycznych powieści Alexandre’a Dumasa. Koszmarne to jest. Plus tak zwane szkolne wydania z podpowiedziami na marginesach, jak rozumieć dany fragment. To jest działanie na szkodę edukacji i społeczeństwa. Można takie gangsterskie metody wydawnicze wyprzeć chociażby dzięki porządnie przygotowanym edycjom lektur, książkom niedrogim, skierowanym do szerokiego grona czytelników. Do tego jednak potrzebny jest program wspomagający porządných wydawców, nie zaś bezsensowne dotowanie podmiotów o wątpliwym statusie i dorobku. Tak jak zrobiono to we Francji, gdzie książka musi być sprzedawana przez rok po tej samej cenie, niezależnie od księgarza, po cenie sugerowanej przez wydawcę, którego obowiązuje nadto respektowanie wymogów specjalnej ustawy o książce postrzeganej jako dobro narodowe. Cena książki nie może być za wysoka, ale musi być też opłacalna dla wydawcy. A u nas to zaniżanie ceny przez sieciówki i dystrybutorów psuje rynek, to się nie mieści w żadnych standardach cywilizacyjnych i kulturowych. Nie chciałem o tym mówić, ale wydawca dzieł Stanisława Przybyszewskiego, o których wczoraj dyskutowaliśmy na specjalnym spotkaniu, sprzedaje książki po 60–70 zł z uwzględnieniem specjalnego rabatu. W popularnej sieciówce można zaś je kupić za około 50 zł. To prawdziwe nieszczęście dla wydawcy.

Wojciech Kruszewski

To jest pierwsza nasza rozmowa, kiedy ktoś w ogóle mówi o połączeniu ruchu edytorskiego z rynkiem książki.

Mirosław Strzyżewski

W naszym środowisku edytorskim nie ma świadomości, jak bardzo te naczynia są ze sobą połączone. Dominuje myślenie z podziałem – literaturoznawstwo a edytorstwo. Oczywiście są to związki naturalne, nie widzi się tego jednak w szerszym kontekście – w kontekście rynku wydawniczego, księgarni, biblioteki itd. Ot choćby pomysł z nowym krytycznym wydaniem pism Juliusza Słowackiego jest właśnie takim utopijnym przedsięwzięciem, które nie może być zrealizowane, mimo że jest to pomysł świetny, ciekawy, nowoczesny, wychodzący naprzeciw poetyce dzieł Słowackiego, z fragmentarycznością jako głównym aspektem tej twórczości. Tylko najpierw trzeba powołać kompetentny zespół, a następnie dobrze zorganizować finansowanie. Na wiele lat. Bez tego ani rusz. I nie można tego wydawać w PIW-ie, który podobnie jak PWN jest już tylko dawną marką niemającą wiele wspólnego z prawdziwym dawnym PIW-em, tak zasłużonym dla rynku publikacji ze znakiem jakości. Zawsze to podkreślam: trzeba przygotować realny projekt finansowy, później należy powołać odpowiedzialny zespół i równolegle znaleźć właściwego wydawcę. Nie można tego robić na takiej zasadzie: mam pomysł, coś zrobię, a martwić się będę później i potem będę szukać wydawcy. To nie ta kolejność. Te elementy muszą ze sobą współgrać od początku. I wtedy zamierzone przedsięwzięcie nie trwa kilkanaście bądź kilkadziesiąt lat (wydanie krytyczne pism Norwida), tylko trwa tyle, ile musi trwać – pięć, siedem, osiem lat, rozmaicie. To zależy od tego, co wydajemy. Tak, edytor wcześniej powinien posiadać umiejętności menadżerskie, a nie tylko naukowe, tudzież mieć zatrudnionego menadżera znającego się na ekonomii, rynku wydawniczym i wymogach technicznych. Bez względu na to, czy to się zasłużonej profesurze podoba, czy też nie. Czasy się zmieniły. Trzeba nasze myślenie... zmodernizować. Nie wystarczy już z podręcznikiem Górskiego zdobywać Himalaje.

Dariusz Pachocki

Czyli uważasz, że jeżeli program NPRH za każdym razem, niezależnie od projektu, trwa pięć lat maksymalnie, to destrukcyjnie wpływa na działania naukowe i stresogennie na zespół?

Mirosław Strzyżewski

Zdecydowanie tak. Przecież nie wszystkie elementy projektu można zaplanować z góry. Po drodze mamy różne, często nieoczekiwane sytuacje. A to trzeba jeszcze raz pojechać do jakiegoś archiwum, a to trzeba jeszcze raz zamówić i sprowadzić jakieś materiały, a to jeszcze raz trzeba skorzystać ze źródeł. Niekiedy właściwych źródeł należy dopiero poszukać. Czasami znajduje się coś dodatkowego. Rozpisując grant, nie jesteśmy w stanie tego wszystkiego przewidzieć. Projekt finansowany przez NPRH mimo wszystko powinien mieć jakąś cezurę czasową, choć z powodów merytorycznych, nie organizacyjnych, rzecz się często przesuwająca.

Dariusz Pachocki

Można taki projekt przedłużyć, ale bez finansowania.

Mirosław Strzyżewski

Można. Zazwyczaj druk dzieła się przedłuża, bo wcześniej nie przemyślano strony technicznej przedsięwzięcia. Wiele spraw trzeba u nas nadgonić na polu projektowania inwestycji edytorskich.

Wojciech Kruszewski

Darku, nie zapytałem Cię o to, ale te rozmowy, tak jak je rozumiem, są w jakimś sensie świadectwem czasów, w których żyjemy. Co jest trochę niebezpieczne, bo mogą dość szybko się zestarzeć. Choć może nie. Ale chciałbym Wam powiedzieć o jednej rzeczy. Coraz częściej mówi się w humanistyce, ale to oczywiście w rozmowach kuliarnych, że system grantowy jako taki w ogóle jest niedopasowany do humanistyki, że tak się u nas nie pracuje. Może jakimś wyjściem z tej sytuacji jest inne rozwiązanie. Trudno zaprzeczyć, że nigdy nie było na polskich uczelniach tylu pieniędzy, ile jest dzisiaj. Po prostu nigdy nie byliśmy w tak dobrej sytuacji finansowej. Wiem, że wiele brakuje do ideału, ale trzeba uczciwie przyznać, że nigdy tych pieniędzy nie było więcej.

Dariusz Pachocki

Tak, to prawda.

Wojciech Kruszewski

I może jakimś wyjściem jest tak zwana formuła grup badawczych. To jest bardzo luźna formuła. Zbierają się ludzie, którzy mają pewien plan, i oni tak naprawdę realizują ten plan na swoich uczelniach, korzystając z dotacji statutowej. Skąd uczelnia bierze na to pieniądze, żeby sfinansować własnego pracownika, gdy on jedzie na kwerendę albo na konferencję lub, nie wiem, pisze coś i potrzebuje jakichś usług? To jest sprawa między tym pracownikiem a uczelnią. Tym, co ze sobą spina, jest natomiast pewna idea grupy badawczej. Ludzie są rozsiani po Polsce na różnych uniwersytetach i pracują finansowo w ramach swoich dotacji bazowych, które uczelnia dostaje, a nie w ramach projektu.

Mirosław Strzyżewski

Teraz właśnie taki zespół powołałem do wydania pism wszystkich Maurycego Mochnackiego. Należą do niego edytorzy z Uniwersytetu Białostockiego, z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu i oczywiście z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, który jest koordynatorem projektu. Znaleźliśmy też kompetentne osoby (notabene z naszej Biblioteki Uniwersyteckiej), które będą tworzyć i opracowywać związane z projektem archiwum cyfrowe. Mamy to wszystko szczegółowo przemyślane, rozpisane i czekamy na decyzję, czy dostaniemy finansowanie. *Sic!* Czekamy od dwóch lat! Od początku wiedzieliśmy, że rzecz musi zamknąć się w pięciu latach, i tak też planowaliśmy nasze działania. Oczywiście nie wiadomo, czy grant dostaniemy, ale jeżeli nie otrzymamy finansowania, to dalej będziemy starać się o pieniądze. Mamy też rozeznanie w ważnych dla nas archiwach i bibliotekach. Jestem w stałym kontakcie ze specjalistami z Francji, nieformalnie zaangażowanymi w projekt. Bardzo dużo zresztą zyskałem dzięki tym znajomościom. Są osoby na świecie i w Polsce, które nie patrzą na pieniądze, tylko zbierają się wokół pewnej idei, pewnych projektów, widzą w tym wszystkim sens i możliwość zrealizowania całości. Rzecz jasna pieniądze są potrzebne i na nie czekamy. Zobaczymy, jak to wszystko się ułoży. Ale chodzi mi teraz o podkreślenie organizacyjnego aspektu takiego przedsięwzięcia, przygotowania się do niego. Nie wystarczy rozpisać pomysły na kartce, a potem wprowadzić

Wiele spraw
trzeba u nas
nadgonić na polu
projektowania
inwestycji
edytorskich

informacje do systemu, jak to się zwykle odbywa. Nie wystarczy za pomocą kalkulatora obliczyć, kto i ile ma zarobić, i ile to będzie kosztować.

Dariusz Pachocki

A widzisz możliwość takiej współpracy, o której powiedział Wojtek? Że w ramach pieniędzy otrzymanych w poszczególnych ośrodkach uniwersyteckich ludzie zajmują się wspólnym projektem, na przykład przygotowaniem pism Mochnackiego?

Mirosław Strzyżewski

Byłoby wspaniale. Jest to możliwe. Ale to musiałoby być w ramach porozumienia między władzami tych uczelni.

Dariusz Pachocki

Nie wystarczyłoby porozumienie między ludźmi?

Mirosław Strzyżewski

Nie potrafię się teraz do tego odnieść. Wiele zależy od zrozumienia władz i chęci wspierania inicjatyw na przykład w ramach prac pracowni naukowych, które teraz, jak wiadomo, dotacji statutowej nie dostają. Uczelniom chodzi o to, żeby taki grant jednak zdobyć, bo część pieniędzy z tego grantu zostaje na uniwersytecie. I to jest myślenie biznesowe, nadto krótkowzroczne, a nie naukowe, co mnie niepokoi. Środki statutowe, które są bardzo skromne, mogą nie wystarczyć, by taki projekt – bez zewnętrznego finansowania – wspólnie zrealizować.

Dariusz Pachocki

Masz jakiś plan B, jeżeli nie uda się uzyskać grantu NPRH?

Mirosław Strzyżewski

Jestem upartym człowiekiem, będę starał się o pieniądze do skutku. Podobnie było ze *Słownikiem polskiej krytyki literackiej* – z jego pierwszą częścią. Byłem wtedy kierownikiem grantu dwukrotnie, bo to dość długo trwało. Teraz wydaliśmy drugą część *Słownika*, część biograficzną, ale były za nią odpowiedzialne koleżanki z Instytutu Badań Literackich PAN. Kierowałem też bardzo dużym grantem przy pracach nad edycją dzieł Zygmunta Krasińskiego. Mam więc spore doświadczenie. W każdym razie na pewno nie dam się odprawić z kwitkiem.

Wojciech Kruszewski

Chciałbym zmienić temat dyskusji i zapytać o relację między edytorstwem a literaturoznawstwem. Jesteśmy jego częścią. Chcę uniknąć takiej kalki wpływoлогии, ale czy dostrzegasz jakiś pozytywny tego efekt? Bo powiedziałeś, że w edytorstwie robi się dużo. Wielu naszych dyskutantów mówi, że robi się bardzo dużo i że to trwa od lat dziewięćdziesiątych. Czy widzisz jakiś pozytywny wpływ, a może nie pozytywny, jakiś inny, na to, co się dzieje w literaturoznawstwie?

Mirosław Strzyżewski

Tak. Widzę to i pokażę na prostym przykładzie. Biorę książkę do ręki, interpretacyjną, związaną z Zygmuntem Krasińskim, i jest ona w całości oparta, chodzi oczywiście o cy-

tacje, na nowym wydaniu dzieł poety. Jednym słowem: edycja spełnia swoją funkcję, ma swoje miejsce w nauce. Nowe wydania stopniowo wypierają te stare. Przekłada się to na literaturoznawstwo na pewno. Oczywiście nie jest to spektakularne przełożenie, ale nie chodzi o fajerwerki, tylko o pracę na właściwych, sprawdzonych podstawach. Rzecz jasna zawsze będą tacy, co nie odstąpią od archaicznych edycji, bo mają je akurat na półce wraz ze swoimi zakładkami. Rozumiem to, choć bardzo mnie to dziwi. Co wcale nie znaczy, że wszystko, co nowe, jest lepsze od dawnego. Tego nie twierdzę. Jednak edytorstwo powinno dawać właściwy fundament pod dalsze prace interpretacyjne. W tej materii nic się nie zmieniło od czasów Górskiego.

Dariusz Pachocki

Opowiedz, proszę, jakie były największe wyzwania związane z edycją dzieł zebranych Krasińskiego.

Mirosław Strzyżewski

Nie mamy prawie w ogóle rękopisów dzieł Krasińskiego. Jak wiadomo, zostały spalone w 1944 roku. Ale dawni edytorzy z nich korzystali, na przykład Józef Kallenbach, Jan Czubek czy Leon Płoszewski, oni mieli do nich dostęp. I my musieliśmy cofnąć się w czasie i dzięki ich pracy, przygotowanym przez nich notom edytorskim, zazwyczaj skromnym, dzięki przypisom i rozmaitym sugestiom, porównując wszystkie wcześniejsze wydania, próbowaliśmy odtworzyć stan rękopisów i je wyzyskać. To było duże wyzwanie, które można przewrotnie nazwać... nieautoryzowane autografy z drugiej ręki.

Nadto chcieliśmy nieco odmienić wizerunek naszego wieszca narodowego. Dziś mocno zmurszały. Krasińskiemu interpretatorzy przydali łatki czarnego, melancholijnego poety ruin, historiozofa o skłonnościach do mesjanizmu, człowieka zamkniętego w sobie, zajętego religią. Toż to kompletne bzdury i nadużycia! To był żywy człowiek! I ten czarny pomnikowy Krasiński został odczarowany przez białego Krasińskiego. Naszym prowokacyjnym zabiegiem było to, że ubraliśmy poetę w białe dziewicze okładki. Świadomy zabieg. Jeśli chodzi natomiast o śledztwa edytorskie, to było ich wiele. Przykładem jest kapitalna sprawa z *Nie-Boską komedią*. Mamy trzy ważne edycje dzieła: edycję z 1835 roku, z 1837 roku (druga edycja) i ostatnią edycję z 1858 roku. Zwykle edytorzy za podstawę wydania przyjmowali ostatnią wersję utworu, która powstała za życia autora. A to wersja pierwsza, ta najbardziej romantyczna, z którą romantycy obcowali, którą Mickiewicz omawiał w wykładach paryskich, a nie *editio ultima* z 1858 roku, jest wersją literacko lepszą, otwartą, romantyczną właśnie. Tekst z 1858 roku zamyka jakby pola do interpretacji, zaś *editio princeps* na romantyczny sposób je otwiera. Magda Bizior przygotowała zatem tę wersję pierwotną z 1835 roku, musiała swoją decyzję odpowiednio uzasadnić i pokazać ewolucję zakończenia dramatu. Takich momentów zawahań i podejmowania trudnych decyzji było zresztą mnóstwo.

Ważne było również opracowanie na nowo prozy poetyckiej Krasińskiego, także tekstów pisanych w języku francuskim. To zasługa Agnieszki Markuszewskiej i Joasi Pietrzak-Thébault. Uznaliśmy, że francuskich utworów nie należy wyodrębniać i drukować ich w osobnym tomie, tak by interpretatorzy traktowali tę część spuścizny poety integralnie z tekstami polskimi, a nie po macoszemu. Wbrew tradycji włączyliśmy więc francuskie teksty, co istotne – na nowo przetłumaczone – w obręb dzieł zebranych zgodnie z przyjętym nadrzędnym porządkiem rodzajowo-gatunkowym. To bardzo ważna decyzja edytorska, bo zmienia ogólną dynamikę twórczej Krasińskiego. Zrezygnowaliśmy

Edytorstwo
powinno
dawać właściwy
fundament
pod dalsze prace
interpretacyjne

też z wyodrębniania z całości tak zwanych juveniliów, rzekomo świadczących o miernych początkach pisarstwa Krasińskiego. Ale przecież niemal wszyscy romantycy debiutowali u nas jako nastolatki, po co więc sztucznie wyodrębniać tę fazę ich twórczości? Tych wyzwań związanych z Krasińskim było zatem sporo, a wszystkie prace trzeba było zakończyć w ciągu pięciu lat. Wspominam to jako karkołomne przedsięwzięcie, ale dzięki pracy zespołowej udane. Podkreślam: dzięki pracy zespołu.

Wojciech Kruszewski

Wydaje mi się, że to pozostaje jakoś w związku z moim wcześniejszym pytaniem o relację edytorstwa z literaturoznawstwem. To znaczy to są zupełnie nieoczekiwane dane. Pracujemy nad edycją, a rodzi się z tego rewizja romantyzmu i z romantyzmu czarnego robi się romantyzm biały. Krótko mówiąc, tego nie da się zamknąć w getcie. Nazwałbym to jakimś potencjałem edytorstwa, może nie rewolucyjnym, ale to jednak jest jakiś duży potencjał krytyczny.

Mirosław Strzyżewski

Dzieła otwartego, płynnego, w stanie *in statu nascendi*.

Wojciech Kruszewski

Tak. Chciałbym porozmawiać jeszcze o jednym problemie. Próbuje pytać o to naszych rozmówców: o możliwość wykształcenia edytora na studiach.

Mirosław Strzyżewski

Ale pytanie właśnie zadałeś, naszej rozmowie przysłuchują się dwie studentki edytorstwa...

Dariusz Pachocki

I zaraz się okaże, że to niemożliwe...

Mirosław Strzyżewski

Uważam, że na poziomie studiów, ale pięcioletnich, nie trzyletnich, tylko pięcioletnich, można przedstawić studentom problemy i praktyczne zagadnienia, które są związane z edytorstwem, na różnych przykładach z rozmaitych okresów literackich. I można też pokazać narzędzia edytorskie, podstawowy warsztat. To jest akurat możliwe. Ale czy to się przełoży na wykształcenie edytora? To już zależy od prywatnych zapatrywań, dyspozycji, chęci i możliwości studentów. Wszak mamy świadomość trudności i elitarności tych studiów. To może się przełożyć, ale nie musi, dana osoba może też powiedzieć, że wykształciła się na edytora dzieł literackich, skończyła specjalność edytorską, ale woli iść do sklepu pracować przy kasie. Więc albo ktoś w to wejdzie, albo ktoś się tym zachwyci, połknie bakcyła, albo nie. Trudno o tym wyrokować, każdy student edytorstwa dostaje jednak szansę kształcenia się w tym kierunku. Ale czy istnieje certyfikat: wykształcony edytor...? Nie, nie ma czegoś takiego. Czy istnieje certyfikat: wykształcony literaturoznawca? Też nie. Sądzę, że studentom można pokazać wiele spraw z zakresu teorii i praktyki edytorskiej. Zdaję sobie również sprawę, że aspekt praktyczny jest bodaj najważniejszy. Wielu naszych studentów dostaje zatrudnienie w wydawnictwach tradycyjnych albo internetowych. Umiejętności redagowania tekstów, korekty, obsługiwanie programów komputerowych, komponowania grafiki okazują się także przydatne w rozmaitych zawodach skupionych

Ale czy istnieje
certyfikat:
wykształcony
edytor...?
Nie, nie ma
czegoś takiego

wokół książki. Ale jeżeli odpowiednio sprofilujemy program, to istnieje możliwość wykształcenia edytora naukowego *in spe*. Pod jednym warunkiem: że będzie chciał dobrze wykorzystać wiedzę i umiejętności zdobyte na studiach. Musi mieć predyspozycje, ale i pasję. Potencjalnie dajemy więc taką możliwość na studiach w Toruniu.

Dariusz Pachocki

Zmierzamy do finału naszej rozmowy. Czas więc na pytanie, które zwykle pojawia się na końcu. Jesteś badaczem, dydaktykiem, edytorem. A czy wiesz, co byś robił, gdyby to miało być zupełnie coś innego?

Mirosław Strzyżewski

Tak, wiem.

Dariusz Pachocki

Co by to było?

Mirosław Strzyżewski

Miałbym firmę budowlaną. Byłbym bogatym człowiekiem...

Dariusz Pachocki

Finansowałbyś wydania naukowe?

Mirosław Strzyżewski

Gdybym miał odpowiednio wykształconą świadomość takiej potrzeby, wówczas na pewno.

Dariusz Pachocki

Sam postawiłeś swój dom?

Mirosław Strzyżewski

Nie. Nie miałem czasu. Ale kupiłem dość stary dom i tak sobie unowocześniam go do dzisiaj, pomału wszystko.

Dariusz Pachocki

Budowanie domów jest zbyt poważne, żeby je powierzać budowlącom.

Mirosław Strzyżewski

Tak jest, podobnie jak filozofom nie należy poruczać opieki nad organizacją państwa.

Dariusz Pachocki

Lekkoatletyka?

Mirosław Strzyżewski

W młodości grałem w hokeja. A później rzeczywiście poszedłem w lekkoatletykę.

Wojciech Kruszewski

Edytorstwo naukowe sytuuje się bliżej fachu budowlanca czy hokeja na lodzie?

Mirosław Strzyżewski

Blżej biegania maratonów. Zaliczyłem siedemdziesiąt trzy pełne maratony. To rzecz jasna metafora... Chodzi o konieczność podjęcia mozolnego trudu. Pracy uciążliwej i mało wdzięcznej, a potem strasznego, niewyobrażalnego wręcz zmęczenia na ostatnich kilometrach i satysfakcji na mecie, której nie sposób z niczym porównać.

Wojciech Kruszewski

Ale maraton jest kwestią tempa. Złapania pewnego rytmu. To mi się podoba, bo też tak odbieram pracę edytorską, że to jest kwestia złapania pewnego rytmu pracy przede wszystkim.

Mirosław Strzyżewski

W czasie treningów do biegów maratońskich, które są zazwyczaj znacznie bardziej wyczerpujące niż sam udział w zawodach, miałem najlepsze pomysły. Umysł całkowicie się oczyszczał i pozwalał imaginacji szybować, oj, szybować...



Mirosław Strzyżewski – profesor tytularny w Katedrze Edytorstwa i Literatury Polskiej Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, kierownik Pracowni Edytorstwa Naukowego i Praktycznego, w latach 2008–2024 dyrektor Wydawnictwa Naukowego UMK. Specjalizuje się w historii literatury polskiej XIX i XX wieku, pograniczach literatury i filozofii oraz literatury i muzyki, w edytorstwie naukowym i krytyce literackiej. Autor ponad sześćdziesięciu artykułów naukowych, współautor i redaktor *Słownika polskiej krytyki literackiej* (2016), autor książek m.in.: *Maurycy Mochnacki. Rozprawy literackie* (2000), *Mickiewicz wśród krytyków. Studia o przemianach i formach*

romantycznej krytyki w Polsce (2001), *Romantyczna nieskończoność. Studium identyfikacji pojęcia* (2010), *Music and Infinity. Studies in Polish Romanticism* (2016). Redaktor naukowy nowego wydania *Dzieł zebranych* Zygmunta Krasińskiego (t. 1–8, 2017) oraz francuskiej edycji prozy poetyckiej i pism dyskursywnych Krasińskiego, którą opracował razem z Joanną Pietrzak-Thébault i Agnieszką Markuszewską (2021). Założyciel „Sztuki Edycji”. W druku znajduje się obecnie ważna publikacja, nad którą pracował ponad dwadzieścia lat: *Listy emigracyjne Maurycego i Kamila Mochnackich (z dołączeniem listów Michała Podczaszynskiego). 1832–1834* (2025).